

Przyjaciel Ludu.

Rok piąty.

No. 8.

Leszno, dnia 25. Sierpnia 1838.



Górecki Antoni. *)

Górecki Antoni, znakomity poeta polski, którego poezye w dzienniku warszawskim często były umieszczane, służył w wojsku. W czasie kampanii roku 1812 ozdobiony krzyżem legii honorowej, ma teraz przeszło lat 40. W poezyach jego wydaje się mocne nczucie, imagi-

nacya żywa i silna; a lubo nie stanął na szczyście Parnasu polskiego, w drugim jednak rzędzie poetów znamienite zajmuje miejsce. Jako człowiek, ze wszech miar szacunku godzien. Szkoda, że dotychczas poezye jego nie zostały zebrane i drukiem ogłoszone.

*) Rycina wyjęta z fran. dzieła: *Biographie des hommes du jour*. Tom III. Paris 1836.

Obrona Olsztyna.

(Koniec.)

II.

Promień wiosennego słońca zawisł na szczytach baszt Olsztyna; budzą się wojownicy, którym sen tak błogim był spoczynkiem po długich znojach oblężenia. Nie wielcy w liczbie, wstrzymali jednakże siedmiokrotny szturm Rakuszan. Już nie ujrzyś na całym widnokręgu wroga, czasem tylko, w dali czerwieniąca się luna, oznacza, że w ucieczce, w której imię Karlińskiego, dowódcy Olsztyna, jako postrach unosi, mści się za odniesione straty, rabunkiem i zniszczeniem сіół okolicznych. Ale opuścmy Rakuszan, również jak wszystkie bolesne obrazy, koniecznie się wiążące do samego imienia wojen, które w czasie bezkrólewów Polskę szarpały. Wróćmy wśród piękne mury oswobodzonego Olsztyna, gdzie dzwon z wieżycy zwołuje rycerstwo przed ołtarze Pańskie, by dzięki złożyć Wszechmocnemu za ostateczne odparcie wroga; gdzie całe życie wodza i wojowników, w jeden hymn zwycięstwa się złąło.

Rycerstwo zbiera się przed kaplicą, wszystkich dygnitarzy okolicy policzysz tam do razu: Sędziów, wojskich, podkomorzych, cześników, wreszcie całą szlachtę okoliczną, lemieszowych wojaków. Przy bogatych pasach, wiszą karabele, jeszcze nie otarte z pyłu bitew; barwiste konfederatki, kryją podgolone głowy; zawiesiste wąsy, ocieniają twarze, surowe, jak na tych przystoi, co dopiero z śmiercią, na polu sławy, w zapasy chodzili.

Niezadługo przybywa Karliński; jednogłośnie okrzyk: *vivat dux!* przyjął brata szlachcica, ukochanego wodza. Liczne troski zepchnęły już wszystkie włosy z męzkiej jego głowy; oczy duże, nos orli, wąs wiekiem ośrońiony, słodycz w spojrzeniu, a powaga i surowość w całej wyniosłej postawie, przy tém skromne rycerskie przybranie, oto jego obraz. Ale któż odmaluje tę gorącą miłość ojczyzny, rodziny, która zawsze piętnem była jego duszy, i wszystkich czynów życia.

Karliński zawiódł rycerstwo do kaplicy; zaczęto nabożeństwo od pieśni: „*ko to się w opiekę, poda panu swemu,*“ którą codziennie przed walką, w czasie oblężenia, śpiewano. Potém nastąpiła msza; podczas ewangelii dobyto szabel, a na niejednej można było jeszcze dostrzedz krwi wroga. Po mszy odśpiewano *Te Deum*, wreszcie zakończono nabożeństwo modlitwą, odmówioną za poległych w obronie wiary i kraju. Pięknym i wzniosłym musiał być widok tych poważnych, bogato przybranych wojaków, których przemożny nieprzyjaciół, śmierć i zniszczenie w tej części Polski roznoszący, całą siłą przemódz nie zdołał; korzących się w przybytku Pańskim, z całą pokorą chrześcijańskiego ducha.

Opuszczają kaplicę, podają sobie bratnie dłonie na znak wewnętrznej roskoszy, którą serca

gorzeją z zwycięstwa nad wrogiem. Nie jeden śle dziękczynne westchnienia, w stronę, gdzie widać z Olsztyna wieże przybytku Najświętszej Maryi Panny Częstochowskiej, patronki, królowej polskiej, jaśniejące złotemi promieniami słońca. Karliński wszedł w koło rycerstwa, przemówił krótko lecz treściwie: „bracia! Opatrzność nas „nie opuściła, wróg poprzestał się kusić o „stąpienie progów naszych; oby tak z całą naszą „ojczyzną było! Co do nas, o ile to ludzkiej sile „przypisać można, ważna to zasługa, za resztę „podziękowaliśmy już Bogu. Niezadługo każdy „będzie mógł wrócić do rodzinnego sióła, nie- „chaj w nim zastanie pokój i szczęście, podwojone, „jako nadgrode, od czasu, kiedy je opuścił, by „nieść swą prawicę na usługę ojczyzny. Za- „chowajcie drogą mi zawsze waszą życzliwość; „dziękuję za nią jako dotychczasowy dowódzca, „proszę o nią na przyszłość, jako dla waszego „brata. Zaszczycie dzisiaj progi moich komnat, „spełnimy zdrowie jeden drugiego; nie oszczędzi „się, co wojenna posiada szpiarnia.“

Chętnie usłuchano zaprosin wodza, i wnet zabrzękły karabele po dębowej posadzce Karlińskiego mieszkania. Skromnie zastawiono stoły: każdy siadając, zrobił znak krzyża, odmówił krótką, łacińską modlitwę. Wesoło spożywano strawy, jakich Karliński mógł użyć, w dopiero wyswobodzonym zamku z oblężenia. Nie jeden puhar lipcowego rozgrzał głowy, zarumienił lica, rozwiązał, jak to mówią, języki. Zwawo toczyły się rozmowy, o wojnie, o korzyściach, wynikających dla Polski z związku z Szwedami, przez powołanie na tron Zygmunta; później o ówczesnym hetmanie Janie Zamojskim, obrońcy wolności szlacheckich; o rozmaitych potrzebach krajowych; wreszcie o dopiero co odpartych Rakuszanach. Pan podkomorzy utrzymywał, że porażka pod Olsztynem zmusi Rakuszanina do zwrotu i z swą własną krainą: Pan sędzia podzielał jego zdanie. Pan komornik przeczył zacnym sąsiadom, większe mając wyobrażenie o sile nieprzyjaciela. Tylko o tém on i wszyscy obecni mocno byli przekonani, że już o Olsztyn się nie pokusi, i że ich okolica, wolna od dalszych klęsk. Każda rozmowa i spór, które długo i długo się ciągnęły, kończyły się zawsze wyrazem uwielbienia dla Karlińskiego; jemu każdy szczerze zawdzięczał oswobodzenie zamku i okolicy, tylko jego moc duszy była w stanie, z małą garstką walecznych obywateli, tłumy wroga odepchnąć.

Wieczór piękny, cichy, rozłączył wodza z wojownikami. Karliński pożegnawszy towarzyszy, kazał zawołać do siebie swe jedyne dziecko, pociechę starego wieku, żywy obraz drogiej żony, której pamiątkę świętą wciąż otaczał. Lotem błyskawicy wbiegła dziewczyna do komnaty wodza, i wnet otoczyła drobnymi rączkami mężką pierś Karlińskiego. Jakżeż unosząca była ta chwila, gdy ten aniołek, o lnianych włosach, niebieskich

żrenicach, któremi niebo w duszę rodzica się lało, tulił się do wodza, zestarzałego w boju, ztwardniałego w obozach, tak, jak się tuli w chwilach burzy drobna ptaszyna pod skrzydła sokoła, w powietrznych gdzieś sferach. Czysta i gorąca musiała być łza wodza, która w chwili przywitania spłynęła po siwych wąsach na jaśniejące czoło dzieciny. Była ona zarazem błogosławieństwem i chrztem moralnym, bo jakież mogło być dziecko takiego ojca, który umiał silną dłonią i myślą gromić nieprzyjaciela, a wnet łzy rzewności wylewać. Ileż wspomnień ubiegłego szczęścia wzbudziła dziecina w starym wojowniku; ileż nadziei budził ten uśmiech, tak wdzięczny, tak mdły, przy ciągłych pytaniach: czy już wiesniacy będą mieli pokój w swych chatach? czy już nie wrócą ci źli ludzie, co do taty strzelali? biednych dręczyli? siola palili! Długo wiódł Karliński rozmowę z swym dzieckiem, serce ojcowskie użyczyło jeszcze nie jednej rady, nie jednego uścisknięcia. Chwile szybko zbiegały, zorza zachodnia przyświecała już półjasnym, żółto-czerwonym światłem; kiedy niespokojna dziecina opuszcza kolana rodzica, ten tron niebieski na tym ziemskim padole; wybiega w las, za mury, gdzie więcej miejsca do biegania, więcej motylków do gonienia, gdzie tak mile śpiewają ptaszęta. Nie umiał wódz uskąpić tej tak niewinnej rokoszy swemu lubemu dziecku; żegna, ściga wzrokiem, pozwala gonić za szczęściem!

Obowiązki wodza, odrywają Karlińskiego od lubego widoku: obchodzi mury i baszty, porostawiane strażę, zaleca pilność i baczność, choć nieprzyjaciół daleko. Odwiedza rannych, jednym nadgrody ziemskie, drugim wyższe gdzieindziej wystawia; wszędzie pociechę, szczęście w sercach zaszczepia. Zaspokoivszy swe czynności, wraca wódz do miejsca, z kądem poglądał na dziecinę, ale nic nie widać, nic nie słychać, zmrok roztacza już swe cienie; może wesół dziecina kryje się tylko za grubym dębem, lub krzakiem leszczyny; Karliński woła, ale tylko dalekie echa wracają drogę mu imię. Mijają chwile oczekiwania, długie jak wieki, bo niespokojność dręczy serce ojcowskie, służba rozbiega się szukać zbłąkanego aniołka, a ciemność nocy pokrywa, jakby kirem strasznego przecucia, męzkie serce Karlińskiego.

III.

Jeszcze zorza poranna nie zupełnie rozpuściła cienie nocy, a już rozlegał się w dali jakiś dziki dźwięk kotłów, szcęk broni, szelest orężnych rót; echo przynosiło go w mury Olsztyna, jak jakie ubiegłe wspomnienie. Ale coraz bardziej wzmagają się, rosną; jako szmer wzmagającej się burzy na morskich przestrzeniach. Ruch powstaje w zamku; każdy wojownik bieży na swe miejsce, gdzie powinność wzywa. Karliński wrządza, rozstawia, z troską w oku, ale silny

głos jego, bo ojczyzna usług wymaga. Długo i długo samo ucho tylko drażnione, aż nagle jak czarna chmura, rozwijają się przed lasem zastępy Rakuszanów. Niepojmują wojownicy, z kądem wróg tyle razy odparty, znów się pokusza doświadczać szczęścia pod murami zamku. Polskie proporce, wieją na murach i basztach; wszędzie rzesko i ochotnie gotują się do odporu; jeden Karliński ponuro spogląda; na jego czole zawisła burza brzemienna fala. Kapelan zamkowy zagrzyna pieśnią: „kto się w opiekę;“ z wszystkich części zamku wtórowały silne i ostre głosy, jedynie pobożnością miękczoną.

Wróg zaczyna postępować, oko może już rozróżnić rakuskie zastępy, ogarnąć ich liczbę. Przebóg! jakież widok gromem podziwu uderza polskich wojowników; na czarnem tle rót najeźdźczych jakaś dziwna, ruchoma białosc razi wzrok, pewnie to duch zaguby drogę do grobu im wskazuje. Ale z każdą chwilą, podziw się zmniejsza — gnębiąca boleść zajmuje serca — zasępią lica — jednym głosem rozpacz odzywa się twierdząc: „Dziecię Karlińskiego.“ Wróg ujął je w lesie zbłąkane, i z serca ojcowskiego chce zrobić bramę, którąby mógł zamek opanować. Polscy rycerze opuszczają bronie, zapalone lunt, w milczeniu czekają śmierci z rąk Rakuszan, Karliński spojrział — zbłądł — ale wnet twarz jego rozpaleniła się jakimś nadziemskim ogniem. Nie ujrzył na jego twarzy łzy, którąby gasiła piekło boleści, ale łatwo wyczytasz na dostojnych licach męża, okropną walkę uczuć ojcowskich do dzieciny, synowskich do ojczyzny. Oko jego tak nateżone i w jeden punkt white, że zda się, piekielne powinnyby wstrzymać rotę. Inaczej jednakże się dzieje, zwolna postępuje, i zbliża się pod mury, jakby orszak pogrzebny dzieciny wodza, z rakuskich złożony zastępów. Mało chwil zostaje do stracenia: Karliński, z całym ogromem boleści wykrzyka: „ognia!“ głosem, który najtwardsze serce w prochy skruszył, na który całe nieba i piekła się składały. Był w nim krzyk, z tryumfem konającego męczennika, boleść Abrahama, gdy ofiarował Izaaka, jęk aniołów straconych z raju. Echa drzemające po skałach, oddać go nie umiały, błakał się wśród nich, nieznany ni w niebie, ni na ziemi, zawisł nad ziemią, i jakby z jej wnętrza uderzył w serca wrogów. Rozkaz ukochanego, ślepo słuchanego wodza, pierwszy raz został niewypełnionym. Wróg bez myślenia wstrzymał kroku; chwila zdumienia; lecz już znów postępuje. Zaden polski wojownik nie podnosi broni; stoją jak kamienne słupy, posępni, przynębieni boleścią. Karliński powtarza rozkazy, znów bezskuteczne, bo każdy chętniej dla siebie śmierci wygląda, jakby ją miał zadać niewinnej dzieciny. Wróg się niewstrzymuje; już jest pod murami; dziecina, na przodzie prowadzona, poznaje ojca, uśmiech rozjaśnia płaczem zasępione jagody, wyciąga drobne rączęta, sądząc, że za

chwilę, pierś rodzica, zakryje ją przed wszelką przygodą!

Kiedy Karliński piorunem odzywa się głosem: „pierwój synem ojczyzny, niżli oycem byłem!“ porywa lunt konwulsyjnie drżącą ręką — podpala działo — odpowiadają inne — rykła cała twierdza — huk piekła wstrząsł okolicą — czarny dym zakrył widnokrąg — anioł śmierci przeleciał z jękiem nad najezdnikami i obrońcą Olsztyna!

1go Sierpnia 1838.

K. M.

Listy z narodowej pielgrzymki.

List pierwszy.

Za chwilę mam wyruszyć; na wsiadaniu chwytam pióro, aby coś napisać o przedsięwziętej podróży. — Wszakże przedmiot, który mnie do niej powołał, interesować będzie publiczność, zwłaszcza, że droga, którą się puszczam, żadną dotychczas nietkniętą nogą, prowadzi do tajemnego skarbu, o którym nikt się jeszcze nie pokusił, chociaż on dla nas tak ważny, chociaż on przy nas tak blisko!.. Mamy go w naszej Wielko-Polsce! Wielko-Polska też to właśnie ma być miejscem mojej podróży, celem moich badań lud, jego podania, jego powieści.

Wieleby o tem mówić przyszło; ale zatrzymam się, aż do pierwszej stacyi; tam się szeroko rozpiszę o ważności przedsięwzięcia, o planie podróży, o rodzajach powieści i podan. Dziś ani czas, ani myśl po temu. Jabym chciał wścieć, i ruszyć i gonić za wyobraźnią, która mnie w drodze wyprzedziła; chciałbym lotem ptaka pospieszyć, a tu jeszcze chwili cierpliwości żądają!.. Tę nudną, długą chwilę przygotowania chciałbym przespać, przedrzymać; tak mnie niecierpliwi!.. Ot pieśń sobie pielgrzymią zaśpiewam; może nią skrócę nudy, pożegnaj miejsca znajome, powitaj nieznane kraję, do której dążę!

Wyjazd.

Pieśń wędrowca.

Hej tu mój Janie! — żywo — bez zwłoki
Wyprowadź konie — przytrocz tłumoki,
Przypinaj do nóg ostrogi!
Żywo mój Janie! potrzyмай strzemie,
Rzućmy co prędzej niewdzięczną ziemię,
Gdzie same ciernie i głogi!

Gdzie pod mą stopą pielgrzymią, błędna,
Trawy pozółkna — kwiaty uwiedną,
I serce mroźny chłód zwarzy;
Gdzie miłość dusze poi goryczą,
Gdzie chwile życia łzami się liżą,
Troški zmarszczkami na twarzy!

Próżno tu pielgrzym do bram kołace,
Zawarła duma świetne pałace;
Duma, na nędzy głos głucha;
Próżno tu śpiewak pała natchnieniem,
Próżno gmin budzi ojczystym pieniem;
Gmin pieśni jego nie słucha!

A więc mój Janie! żywo, bez zwłoki,
Wyprowadź konie, przytrocz tłumoki,

Niech stąd co prędzej wyruszę!
Dobrze mój Janie! .. potrzyмай strzemie,
Rzućmy co prędzej niewdzięczną ziemię,
Gdzie zimne serca i dusze!

Spieszmy; za chwilę kraj nas powita,
Gdzie lepsza przeszłość z grobu wykłita,
Kraj cudów — czarów — uroku;
Pamięć, co skarbu przeszłości strzeże,
Zwoła tam króle — dawne rycerze,
Z dawniejszych dziejów pomroku!

Cienie czarownią zaklęte władzą,
Powstań z mogił i przeszłość zdradzą,
Ukryła w tajniach grobowych;
I ujrzym stare — szorstkie postacie,
O długich brodach, w ojczystej szacie,
W hełmach i giełzach stalowych!

Ujrzym tam kordy w męskiej prawicy,
Usłyszym pieśni Boga Rodzicy,
Szczęk broni — kopyt tętentu:
Ujrzym, gdzie ziemia krwią ojców złana,
Życiem kupiona, kości mi zasiana,
Mężkie ich cnoty pamięta!

I znów ujrzym w świetle miesiąca,
Jak Gopla fala przejrzysta, drżąca,
Chórem się dziewic zabieli; a)
I znów usłyszym, jak ciche dźwięki,
Czarownię, nocnej, dzikiej piosenki,
Zabrzmią po Gopla topieli!

Głos jej popłynie po śnieżnej toni,
Myśl za nią w ciemną przeszłość pogoni,
Iskrę w pomroku rozżarzy:
Wśród broni szczęku — wśród bitew wrzawy,
Wśród pieśni dawniej wielkości, sławy,
O przyszłych losach zamarzy!

Dalej więc — dalej! .. im pierwój stracę
Z oczu, te świetne, dumne pałace,
I ten mój ciasny zakątek;
Tę pierś swobodniej odetchnie Janie,
Tę rychlej stopa pielgrzymia stanie.
W krainie drogich pamiątek!

Ryszard B...

Wspomnienia podróży, odbytej roku 1837

przez Annę Nak.....

(Ciąg dalszy.)

VII.

Noc w tyrolskich górach.

Pozbawiona sposobności zwiedzenia gór lodowatych i śnieżnych, których nikt z podróżujących w Szwajcaryi nie pomija, starałam się, nagrodzić to sobie, obracając drogę moją na Tyrol, który tak rzadko ziomkowie nasi odwiedzają zwykli, i nie żałowałam tego, poznaawszy ów kraj, tak w piękności bogaty, tak wygodną dla podróżnych opatrzoną drogą, a który jednak w swém przebyciu tyle trudności do pokonania przedstawia.

Wyjechawszy z Wiednia w końcu Czerwca, stanęłam wraz z moją towarzyszką podróży, panią K... i jej małym synkiem, bez żadnej przygody w Saltzburgu; położenie tego znacznego miasta, jest przesłiczne; rzeka Saltza przedzieliła go na dwie części, pięknym ozdobiona mostem. Dwie góry, zupełnie do siebie podobne, na których dwa, równie sobie podobne starych zamków zwa-

a) Bogunki — Switezianki litewskie.



Cmentarz w Saltzburgu.

liska się wznoszą, stoją z obydwóch stron rzeki, jakby dwa olbrzymy, odwiecznie miastu nisko pod niemi roztoczonemu grożące, szeroki pęd nurtów Saltzy umyka pomiędzy niemi z łoskotem, i równie jak my, chwilowo tylko dziękem i kunsztownym pięknosciom Saltzburga hołduje.

Przyrodzenie obsypało obficie okolice tego miasta darami swemi; widziałam to z opisów, równie jak i z doświadczenia, jadąc przepyszną bitą drogą po dolinach, tysiącnie odcieniami zieleności, staranność i urozmaicenie uprawy poświadczającemi; ozdobioną i wszędzie owocowemi drzewami zasadzoną; a im więcej przyjemności tej podróży ocenić umiałam, tém bardziej ubolewałam nad krótkością mojego pobytu w tém mieście. *) Po krótkim wypoczynku i dobrym obiedzie, w bardzo porządną oberżę, na rynku będącej, wyjechaliśmy z miasta, udając się w dalszą podróż, szczególną drogą; była to długa i wysoko sklepiona brama, w skałę wykuta, całą przebitą górę wskroś przejmująca. Trąbka naszego pocztyliona, dała się raptem słyszeć w pośród tego małego Tunelu, a pieśń jakaś narodowa, którą pięknie odgrywał, miłe na naszych, obcych jej umysłach, sprawiła wrażenie. Długośmy się przysłuchiwały tym melodyjnym, a czasem i groźnym tonom. Echo skalistej drogi, ulubioną zapewne Saltzburgczykom zwrotkę stokrotnie powtarzało, a my wyjecha-

wszy potem w zarośla i wzgórzyste lasy, letniem i pachnącém powietrzem ukołysane, z dumania w marzenie, a z tego w sen pokrzepiający mimowolnie przeniesioneśmy zostali. „Mes dames, vos papiers!“ krzyknął raptem do kocza jakiś już nie młody, rubaszny, ale dosyć grzeczny człowiek, który nas nie mało jednak swém nagłém wołaniem i ukazaniem się zadziwił. Odpowiedziałam mu stósownie na jego zapytanie, ciekawie go nawzajem badając o to, co jego żądanie znaczy i dla czego wśród kraju celna komora się znajduje? Dowiedziałam się, że nam w tém miejscu wążutki klinik Bawaryi przejeżdżać przyjdzie i zezwoliłam chętnie na zaplombowanie wszystkich naszych rzeczy, niewytłaczając szkatułki i torb, codzienną bieliznę zawierających, co się powszechnie czyni dla uniknienia rewizyi, również na bawarskiej jak i na austriackiej komorze, o dwie stacye tylko od téjże oddalonej. Grzeczni celnicy, spieszenie i bezinteresownie nas wyexpedowali, zapewniając, że jeszcze przed zachodem słońca w Tyrolu będziemy, i niewygodne plomby pozbywszy, spokojnie tam, gdzie nam się podoba, nocować będziemy mogli. Nie tak się jednak stało, a pomimo obietnic celnika i istotnie małej odległości miejsca, dalsze owęj nocy przygody stały mi się nadto pamiętne, ażebym je tu zamilczyć miała.

Wkrótce po owém zaplombowaniu, stanęliśmy na bawarskiej stacyi, w miasteczku Reichenhall. Dzikie jego położenie, śniegiem okryte góry, rudery na każdym szczycie skał i rozwaliny wśród miasta, po kilku pogorzalach, dziw-

*) Szan. autorka nie wspomniała nie o osobliwościach tego miasta, z których najważniejsza, cmentarz, wiernie na obrazku oddany. P. R.

ny jakiś, a razem przykry i uroczysty obraz nam przedstawiało. Niema koni, rzekł obojętnie *hausknecht*, przy zaprząganiu pocztylionowi naszemu pomagający. O! i nie będą tak prędko, wrzasnęła cierpko, chuda, blada, złośliwie usmiechająca się gospodyni, pocztmajstrowa i oberżystka razem, której żółta twarz dziwnie z pod czarnego ubrania głowy, zupełnie kształt koguta z rozpostartymi skrzydłami mającego, wyglądała.

Niema koni? a to jakim sposobem? wszak podróżny czekać nie powinien, zapytałam spokojnie. Niemasz, i kwita! krzyknęła znowu, już i tą uwagą obrażona Bawarka, róbcie sobie, co chcecie, ale koni nie będzie; aż za kilka godzin. Nie było nic do czynienia, jak wysiąść i cierpliwie na przybiecane nam konie oczekiwać.

Przybyliśmy do Reichenhall o piątej po obiedzie, stacya austriacka Unken, gdzie nam płomby odjąć miano, była tylko o dwie mile odległa, najdłuższy dzień w roku, i piękna pogoda zdały nam się być dostateczną rekojmią, do szczęśliwego jej przebycia za dnia jeszcze, a pomimo szydersko i niezrozumiale dawanych nam przestróg gospodyni, oświadczyliśmy jej, że dalej pojedziemy, lubo już po kilkogodzinem nas zatrzymaniu, słońce ku zachodowi się nachylało. Omylona w nadziei pomnożenia swoich dochodów naszym noclegiem chciwa kobieta, już złości swojej ukryć nie mogła, a gdy, dla nalegania o prędsze zaprzęgnięcie, na dół szesła, doprowadziłam gniew jej do najwyższego stopnia, pozwoliwszy sobie śmiać się serdecznie, na widok koni, które po jednym z różnych stron sprowadzano. Ukazał się najprzód rosły angliczany rumak, stał obok niego mały krępy podjazd, dalej postępowały dwie chude wywłoki, maścią i postacią zupełną z sobą sprzeczną mające. Odezwała się wtedy w nas wszystkich właściwa nam chęć podchwytywania śmieszności, a lubo nas nikt nie rozumiał, łatwo jednak żartobliwe nasze spostrzeżenia wytłumaczyć sobie można było. Nie uszły więc one uwagi złowróżnej sybilli naszej, która w całej okazałości swojego gniewu przed nami wystąpiła, a ognisty błysk jej oczu, czarny kogut wznoszący się na szczycie czarniejszych jeszcze warkoczy, usta zapalczywie drzące, wszystko to niepospolitą burzę nam przepowiadało; jakoż pożegnała nas krzykliwym i niby proroczym głosem, właśnie kiedyśmy wsiadały, mówiąc: jedźcie więc, ale zajedźcie!... Moja towarzyszka podróży zbladła, słysząc te wyrazy; czyż się temu dziwić można, ona była matką, a jej dziecię, niebezpieczeństwo nocnej podróży naszej dzielić z nami miało.

Opuściwszy Reichenhall, wjechaliśmy w ogromnie zacienione górami wąwozy, ale póki jeszcze słońce ostatnie swe promienie o ich śnieżne wierzchołki odbijało, póki przed jego zachodem, hamerników młoty i koła mnogich młynów na rzece słyseć nam się dawały, póki

piosnkę wędrowca i śpiew kośnika, po wąskich smugach koniczynę strącającego, echa odbijały, póty wszystko szło jak najlepiej; a lubo po stromych górach droga coraz wyżej się pięła, jej równość, piękność i szerokość żadnej nie dopuszczały obawy. Ale już na wierzchołku znaczniejszej góry, w tym punkcie Bawaryą od Tyrolu dzielącej, słońce zaszło, głosy ludzkie i ich prace umilkły, i nic około siebie nie widzieliśmy, jak dziką pustynię i okropny szum rzeki Salty, w głębokiej przepaści bieg swój toczącej i zakręt drogi wprost nam wjazd do téjże przepaści wskazujący; wtedy to wspomnienie złoścących nam Bawarki, żywo w nas odnowione zostało; jeszcześmy się z góry spuszczać nie zaczęli, a już bardzo ciemno było. Wtém pocztylion zsiada z konia, i oświadcza nam, że dalej jechać nie może, póki drugiego hamulca na koło nie założy, a ja o tém na stacyi nie przestrzeżona, nie opatrzyłam się tylko w jeden. Bawarczyk, wierny swej pani naśladowca, nie zważa ani na moje prośby, ani na obietnice, i o jednym hamulcu spuszczać się z góry niechee.

Po krótkiej naradzie, wysiedliśmy wszyscy z powozu, śpiące dziecię niosła służąca, ja zaś z moją towarzyszką postępowałam ostrożnie za próżnym koczem, który nakoniec przez pocztyliona po obiecaniu mu znacznej nagrody, najwolniej z góry, prawie prostopadłej, sprowadzonym został.

Strasza to była przeprawa! watała poręcz, chroniła nas jedynie od przepaści, w którą jedno silnej ręki uderzenie, mogło nas było w okamgnieniu powtrącać. Nurt bystrzej rzeki i strumieni, często drogę naszą przerzynających, daleki odgłos grzmotów i częste błyskanie, pasmo śnieżnych gór, jak rząd widm olbrzymich strwożonym oczom naszym niekiedy się ukazujące, wszystko to pomnażało nasze niebezpieczeństwo, trwogę i niespokojność naszą do ostatniego stopnia powiększając. To położenie trwało więcej, jak dwie godziny; ale ten, co najdrobniejszej istoty, równie jak i najszczytniejszego utworu swego przeznaczeniem kieruje, nie dozwolił, ażeby trzy słabe niewiasty i słabsze jeszcze od nich dziecię, w tych dzikich przepaściach zaginać miały. Już cokolwiek z ciemnością nocy i spadziścią drogi oswojona, mniej tych, jak złych ludzi obawiać się wtedy zaczęłam, ile żeśmy właśnie w najtrudniejszym do przebycia miejscu, kilku wędrowników spotkały, których zjawienie się wśród nocy na pograniczu, nieprzyjemne na nas wrażenie zrobiło; ale oni spokojnie nas minęli, i równie jak my, prawie tylko domysławiac się drogi, spuścili się z góry i znikli w zaroślach niebawnie. Ciemność i błyskawice coraz się wzmaczały, ostrość skalistego żwiru nogi nasze kaleczyła, dziecię się nakoniec obudziło, a idąc z nami, opóźniało nasze kroki; cicha modlitwa i westchnienia ufności pełne, były jedyną bronią moją w tak niebezpiecznym położeniu. Ależ

o Boże! cóż za niespodziana radość, co za widok dziwny i osobliwy zakończył nasze cierpienia. W najprzyjemniejsze światło, jakby promienie księżyca, przy ziemi istniejącego, w jednym oka mgnięniu ową dziką pustynię w czarujący krajobraz przeistacza; strach i obłąkanie nasze, w radosne uczucie zamieniając. Droga i wóz cały, z obódwóch stron gęstemi krzakami obrośnięte, okazują nam się przy nowym zakręcie drogi, najżywszym światłem jaśniejące, wszystkie te krzewy tysiącem świętojańskich robaczków okryte, które w południowych krajach tak świecą, że je jak małe latarki używać można, przedstawiając czarującą illuminacyą, okazują nam, nietylko już daleko łagodniejszą spadzistość drogi, ale i koniec góry i w oddaleniu migające się światła austriackiej stacyi, a tém samém koniec naszych niebezpieczeństw i trwogi. O jakże mi są miłe odtąd te małe istotki, tyle wtedy w serce moje słodczy, ile w zaciemniony widok światła wlewające! Jakże żywo dotąd jeszcze przedstawiam sobie radosne przez nich wybawienie naszego uczucia! Już szara na widokregu wstęga zbliżenie się jutrzanki zapowiadała, kiedyśmy do owęj austriackiej stacyi przybyli. Nie mało naszym mężstwem zdziwieni pocztmistrz i nawpół śpiące służące, dobrze nas pomimo spóźnionej pory przyjęli; a wnet miękkie łóżka niemieckie, dozwoliły nam znaleźć w śnie głębokim, zupełne naszych nocnych trudów zapomnienie.

(Koniec nastąpi.)

O ogrodnictwie angielskiem, holenderskiem i niemieckiem.

(Wyimek z rozpr. o pięknie ogrodnictwie.)

Narody pobratymcze Anglików, naśladowały ich wprawdzie, lecz wyrównać im nie zdołały dotąd. Na czele ich wspomnieć należy Szkotów, których ogrodnictwo VII wieku sięgając, powstało pod błogim wpływem klasztorów, co nietylko wiarę świętą gruntowały wśród lodów północy, lecz szczepiły zarazem wszelki przemysł i oświatę. Wdzięczność dla tych dawnych zakładawców cywilizacyi stała się chlubą dla potomków; gdy wiara nawet się zmieniła, jeszcze wyspiarz Hebrydów szanuje zwaliska dwunasto-wiekowego opactwa Jeolmshill, i wskazuje ślady pięknego klasztornego ogrodu. Pod tym względem Polska podobna jest do Szkocyi, gdyż winna będąc klasztorom religijną oświatę, opis dziejów, początki przemysłu, rolnictwa, na koniec i ogrodnictwa, a na koniec wiarę pierwotną przechowawszy, tém święciej pamięć ich z wdzięcznością zachowa i uczi.

Szkoci uznają, że Lord Kames, około połowy przeszłego wieku, najwięcej się przyczynił do upiększenia ogrodnictwem zachwycającej ich ojczyzny; w nowszych czasach cytują mular-

czyka Jema Ramsaya, który tak głęboko umiał uczuć piękności natury, że, mimo uposłedzenia w jego wychowaniu, stał się najstawniejszym założycielem ogrodów w Szkocyi. Szczególniej się on odznaczył upodobaniem swoim do zakreślenia potrójnego oddalenia w każdym krajobrazie; tak to zawsze prawdziwy geniusz dźwignie się, kiedy go wstrzymuje jedna tylko zaporą ubóstwa i gdy w nim pała żądza ślachtetniejsza od chęci dostatków, żądza i pewność sławy.

Irlandya, ujarzmiona i uciemniona przez Anglików, nie znała powabów życia, zawsze obcych niewoli, i dla tego téż ledwie od początku XVIII. wieku zakwitło w niej ogrodnictwo, wprowadzone przez D. Delaniego, przyjaciela Popa.

Anglicy przenieśli dopiero na końcu zeszłego wieku ogrodnictwo do swoich zamorskich kolonij; na przykładu Dobry nadziei jest ogród rządowy, przez Holendrów już około połowy XVII. wieku założony. Dziś widzimy ogrody angielskie nie tylko w Ameryce, ale i w obu Indjach i w nowej Hollandyi. Na początku XIX. wieku założył gubernator Malty, pan Balls, przy każdej wsi ogród publiczny, aby ubóstwu zapewnić pracę i utrzymanie, a dzierzawcom sąsiadnim dobrych nasion dostarczać. Oby ten przykład więcej naśladowców na kontynencie znalazł! Nie pominiemy Indyów bez wspomnienia ogrodów Kalimai, przez cesarza Schawa-Jehana na początku XVII. wieku założonych: po nich, co niegdyś czterdzieści milionów kosztowały, ujrzyś jeszcze ruiny, blisko miasta Delhi.

Holendrzy, choć tak blisko spokrewnieni z Anglikami, nie mniej od nich różnią się gustem w ogrodnictwie, jak w poezyi. Naród ten, do wszelkich czynów zaprawny, co ojczyznę wydarł morskim bałwanom, a później obcej przemocy; który jak rozłożysto-ramienny polip okręty swemi najoddalenszymi stref sięgał, umiał zawsze cenić i wolność i szczęście swoje. Tak to admirał holenderski laurami okryty, wracał do domowej zaciszy, by używać tego szczęścia, które dla całej okupił ojczyzny: wcale różna ta spokojność Holendra od zaciszy domowej Anglików; bo jego nie suszy duma, ni żądza znaczenia, nie toczy go zgryzota zawodu długo pielęgnowanych nadziei: jemu ojczyzna jest tylko matką, a wielkie czyny jedynie dowodami synowskiej miłości. Dla Anglika zaś ojczyzna jest rodzicem sławy i dumy narodowej, a dzielność jego świadczy, że godnym staje się synem takiego ojca. U Batawów więc miłość ojczyzny na równej szali jest z dumą narodową Bretonów. Z tychże powodów wszystko w około Holendra odróżnia go od Anglika, bo on jest ludzkim i towarzyskim, od świata nie stroni, dom ma zawsze otwarty, kocha się w sztukach pięknych, stroi komnaty swe rynsztunkiem w boju zdobytym, muszlami i kwiaty przywiezionymi z dalekich wędrowek. Wreszcie i ogrodnictwo

holenderskie inną cechę przybiera; nie trzeba mu posępnych widoków i dalekich samotnych przechadzek angielskiego parku: kilka prostych ganków, mnogimi kwiaty osutych, wabi oczy przyjaciół: nad kanałem, co dom oblewa, wznosi się zielen obrosła altana, a przed nią naturalny kobierzec w najpyszniejszych zakwita kolorach. Jakżeż piękne były te kwiaty, które swym blaskiem natchnęły malarzy i stworzyły ten rodzaj tak skromny, a tak powabny, na wielkiem tle malarstwa. Miłość kwiatów i ogrodów, najdawniejszych sięgając czasów u Holendrów, i zdaje się według świadectwa uczonych, że poprzedziła nawet wojny krzyżackie, które gdzieindziej pierwsze wyobrażenia kształtnych budowli i ogrodów zaniósł. Później zaś sława kwiecistego Harlemu po całej kuli ziemskiej się rozeszła.

Dziwną jest rzeczą, jak narody, które byt swój z dawnego wywodzą źródła i w ciągłym postępie czasu on walczą, przyjmują cechę właściwą, odrębną, i że tak rzekę, jednostronną; a gdy się przenoszą zwyciężkie w inne strefy, wtłaczają podbitym znamiona wcale im obce; dowodzą tego pod politycznym i socyalnym względem Hiszpania, Francya, Anglia, oraz i Holandya. Pod względem ogrodnictwa nawet przekonamy się o tem, widząc po wszystkich koloniach holenderskich w Indyach, od kilku wieków zakładane schludne holenderskie ogródki, wiejskie domy, kanałami oblane. Hawanna byłaby zdrowszą siedzibą dla Europejczyków, gdyby powietrze nie truły wyziewy mnogich kanałów, naśladowanych z holenderskich ogrodów.

Stolica Holandyi, Haga, otrzymała od ogrodników przydomek: „najpiękniejszej wioski w Europie.“ O belgijskiej Bruxelli wspomnę szczególne widowisko, które w niej Evelyn roku 1641 widział: był to płot z samych fontan złożony; nigdzie w czarodziejskich powieściach wzoru tego dziwnego pomysłu nie znalazłem.

(Koniec nastąpi.)

O jedności kościoła.

(Dzieło z XVIgo wieku, przez X. Piotra Skargę.)

Powszechna to a fatalna czytelnictwa naszego wada, że czytamy raczej książki cudzoziemskie, niż swoje. Zajęci zwłaszcza literaturą francuską, nie mamy nawet czasu, wziąć się szczerze do polskiej: więc z domowych dzieł nie tylko dawne, ale nawet Stanisławowskie mało kto otwo-

rzy. Nietylko o Reju, Kochanowskich, Górnickim, Skardze, Wujku, że ani wspomnę naszych łacinników, ale też o Naruszewiczu, Krasickim, Trembeckim, Karpińskim, ogół polskich czytelników tyle prawie tylko wie, ile się dowiedział w szkołach, albo chyba w dorywczém i przypadkowym tych pisarzy przeczuciu. Trudniej między nami o takiego, co by nie znał któregośkolwiek z główniejszych płodów Kornela, Racina, Woltera, Russa i t. d., niż o takiego, który n. p. wszystkie dzieła Krasickiego (wybieram pisarza najpospolitszego) choć raz całkowicie i pilnie przeczytał. Tak jest nie wątpliwie; a jednakże tak pozostać na żaden sposób nie może, jeżeli chcemy, żeby literatura miała u nas rzeczywiste znaczenie; jeżeli mówię chcemy, żeby była nie marném słowem, nie zabawą samotnych tylko i rzadkich piśmienników; ale krajową potęgą, i jednym z walnych życia narodowego żywiołów. Nie można wszakże tej zmiany wyglądać, póki wprzód, jak to jest świętą dla nas powinnością, nie zaprzemy się cudzoziemczyzny; póki zwłaszcza tego francuzostwa raz sobie z głowy myślą rozumniejszą nie wybijem. Nie masz wcale dla Polaka wstydu, niewiedzieć co tam napisze jakiś pan Balzac, Dumas, Hugo, albo Janin; ale dla każdego światłego jest wstyd wielki, a dla literata jest nawet hańbą, nie przeczytać i nieznać dobrze tego, co napisał którykolwiek ze znakomitych ojczystych pisarzy. Kto chce być razem Polakiem i Francuzem, czy to w literaturze, czy w czémkolwiek, niech będzie pewien, że nie będzie ani jednym, ani drugim, tylko jakimś niedorzecznym i niepoczesnym mieszańcem.

Dla zaradzenia owej niewiadomości o domowych swoich autorach, dobrzeby, żeby pisma peryodyczne, tak wzięte, jak n. p. Przyjaciół Ludu, dawały opisy i wyjątki różnych znaczniejszych, choćby wcale nierzadkich pod względem bibliograficznym dzieł polskich, osobliwie zaś dawnych. Czyniąc to z trafnością, smakiem i potrzebną nauką, możnaby łatwo między ogółem publiczności i lepszą znajomością ojczystej literatury i razem gust do czytania rozkrzewiać. W tej to ja myśli, i nim się ku temu poruszam zdutniejszy, przynoszę teraz wiadomość o jednym dziele Skargi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wychodząca u Ernesta Günthera w Lesznie

Szkółka niedzielna,

zawiera w Nrze 30. następujące artykuły:

Religia: Żywot świętego Szymona z Lipnicy. — Gospodarstwo: Syrop z korbali. — Rozmaitości: Kazimierz Sprawiedliwy, król polski.

Rok II. — Cena półroczna: złtp. 2.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechanński.)